

List Heli Lidzińskiej do Kornelii Witowtówny:

„Kochana Kornelko!

Gniewasz się może na mnie, że przez tak długi czas nie napisałam do Ciebie.

Wybacz, ale doprawdy trudno mi było uporządkować myśli i zebrać się na list... Tyle nowych wrażeń, takie zupełnie inne warunki życia...

Przyznam Ci się otwarcie: z początku było mi dziwnie obco, nieswojsko... Kiedy się znalazłam w mojej izbie, pozbawionej wszelkiego komfortu, do którego przywykłam, i zetknęłam się z chłopami, bardzo mało podobnymi do „pocziwych“ wieśniaków w powieściach tendencyjnych i do poetycznych pasterzy na idyllicznych obrazkach, ogarnęło mnie — wyznam, choć się wstydzę — uczucie przestachu...

Niestety, my młodzi, którzy marzymy o tem, aby nieść ludowi „oświaty kaganiec“ — znamy często ten lud niewiele więcej, jak Hotentotów, czy Zulusów, bo i jednych i drugich z teorii książkowej... Przynajmniej ze mną tak było...

Całe szczęście, że z naszymi chłopami polskimi łatwiej porozumieć się można, niż z afrykańskimi dzikusami, no i łatwiej wsłuchać się w ich przyzwyczajenia... Ja też aklimatyzuję się — choć powoli...

Nie jestem przecież tak słaba i niedołężna, abym się pozwoliła pokonać moim filisterskim przyzwyczajeniom i wymogom... Powiedziałam sobie: Dość tego, panno Helu, zdawało ci się, że jesteś bardzo mądra, dojrzała, samodzielna, a jesteś tylko rozpieszczona i rozkapryszona... No i przyzwyczajam się, a przede wszystkim staram się poznać moje nowe otoczenie...

Moja gospodyni, Dorulowa, bardzo miła i wesoła kobiecina, polubiła mnie... Głównie z nią często i czasem mi się zdaje, że ją doskonale rozumiem, a ona mnie; kiedy nagle natrafiam na coś takiego, czego ani rusz ugryźć. Na przykład zauważyłam, że gospośia moja chętnie w niedzielę i święta czyta... Widziałam u niej jakąś jarmarcznaną powieść, wychodzącą w zeszytach p. t. „Cnotliwa hrabina czyli dwunastu rozbójników“...

Dałam jej więc tom Konopnickiej... Przyszłoby rzeczy, takie jasne, takie proste, że zdawałoby się, że muszą do chłopskiej duszy przemówić...

No i wiesz, co było? Dorulowa po przeczytaniu kilku kartek oddała mi książkę i rzekła:

— E, ja ta na takie „bele co“ nie mam czasu... Jak mam wolną chwilę, to sobie chcę poczytać jaką piękną historię...

Oślupiałam...

— Jakto, nie podoba się wam to? — zawołałam. — To przecież takie ładne...

— Może to i ładne, ale dla panów...

Co miałam na to powiedzieć? Nie odpowiedziałam nic i schowałam pogardzoną książkę. Nie tak to widać łatwo „złazić pod strzechy“...

Podobnych rzeczy mogłabym Ci cytować mnóstwo, ale nie będę, bo list mój urósłby do rozmiarów jakiejś rozprawy, a Ty pewnie nie masz ani czasu, ani ochoty, by czytać takie foliały...

Właściwej pracy mojej nie rozpoczęłam jeszcze... Nauka w szkole zaczyna się dopiero w przyszłym tygodniu. Mam uczyć dzieci najmłodsze, tak zwane pospolicie tutaj „osiółki“.

Mam wielką treść, boję się, abym się nie okazała największym z pośród moich „osiółków“ osiołkiem...

Kolega mój zalesiński, nauczyciel Michnik, pociesza mnie, że to znów nic trudnego... Byłe dobre chęci były... No, chęci to mi nie brak, a ostatecznie nie święci garnki lepią...

Tymczasem używam jeszcze swobody i wypoczynku... Okolica tutaj przeszłona... Lasy, pagórki, krajobrazy rozległe... Opisywać Ci tego nie będę, bo zrobiłby się zapewne jakiś opis banalny, któryby Ci żadnego nie dał wyobrażenia o rzeczywistości...

Najlepiej, postaraj się o urlop, przyjeżdż i zobacz sama...

Z tem wszystkiem czułabym się tutaj może osamotnioną, ale los był na mnie łaskawy... Znalazłam towarzystwo miłe, sympatyczne i inteligentne...

Napiszę ci o tem szerzej innym razem, a teraz kończę już ten przydługi list i całuję Cię serdecznie Twoja Hela.

P. S. Widzisz, byłabym zapomniąca... Mam pozdrowienia dla Ciebie. Ani zgadniesz, od kogo... Wyobraź sobie, co za dziwny zbieg okoliczności... Pamiętasz może, że ostatniem widzeniem się naszym opowiadałam Ci o tym rannym wojskowym, który zaczął mnie, a właściwie zamierzał zacząć, przynajmniej tak mi się zdawało...

Złumiałam się, kiedy go spotkałam w Zalesinkach... To kuzyn pani Walczakowej, właścicielki Zalesinek, a zarazem Twój dobry znajomy i kolega... Pan Ludwik Rażycki... Ze też Ty mi nigdy o nim nie wspominałaś.

Widuję go często, prawie codziennie, no i kłóci się nieraz porządnie... Wkońcu jednak zawsze przychodzi do porozumienia, bo on ma naturę dziwnie łatwą i miłą w pozyciu codziennym... Jakoś nie można gniewać się na niego, pomimo, że jest trochę lekkomyślny i porządnie zarozumiały, zwłaszcza, jeżeli chodzi o kobiety... Zdaje mu się, że jest Cezarem, który przyjdzie, spojrzy i zwycięża!

Ja przynajmniej jestem już szczepiona od zachowania się...

Chociaż... Nie... nie już!

Pa! Kornelko!

ROZDZIAŁ X.

— Proszę cię, Anielko, tylko żądaj filantropii — zawołał Kazimierz Walczak. — Nie baw się w dobrą panią ze dworu, bo to na chłopów teraz już wcale nie działa... Chcesz zorganizować tę wypożyczalnię, dobrze, ale niech będzie płatna, bo wszelka jałmużna i darmochy demoralizuje i najczęściej chybia celu...

Ooiad, na który zaproszono panią Lidzińską i Władysława Michnika, skończył się.

Pokojówka podała czarną kawę. Mężczyźni zapalili papierosy.

— Ależ — broniła swego projektu Walczakowa — opłata może ich zniechęcić, a ja bym tak chciała...

— Nigdy w życiu! Chłopi tylko to cenią, za co zapłacą!... Niech ta opłata będzie najmniejsza, ale niech będzie!

— Pan Kazimierz ma zupełną rację — popierał Michnik zdanie gospodarza. — Cnota jest przyzwyczajony do tego, że go każdy obdiera: karczmarz i kupiec, adwokat i lekarz i każdy najmniejszy urzędnik, który ma mu jakąś, choćby najbardziej drobnostkową sprawę załatwić... Jeśli więc nie z tego nie z owego, ktoś ciurkuje mu zadarmo rzecz, za którą on mógłby mu zapłacić, budzi się w nim zaraz niedowierzanie i, co za tem idzie, lekceważenie... Tak, tak, stanowczo trzeba nauczyć chłopów, aby płacili za książki i gazety... Ja zawsze staram się wpoić w nich przekonanie, że czytanie to nie zbytek, ale konieczna potrzeba, no i udaje mi się dosyć... Mało teraz jest takich domów, gdzieby nie czytano jakiejś gazety lub książek...

— Ach! Jakże oni książki czytają! — westchnęła Hela Lidzińska.

— O, proszę pani, tylko nie wymagać za dużo i nie sięgać zawysoko! Niech pani nie przykładą swojej estetycznej i literackiej miary... Chłopu naszemu na obecnym stopniu jego oświaty trzeba podsuwać bajeczki, jak dziecku... Czyż pani nie wie, że wszystkie tendencyjne powiastki „dla ludu“ są clikliwe i nudne, jak lukrecya, a dzieci nie chcą nigdy czytać moralizatorskich historyjek, specjalnie dla nich pisanych...

— Tak, tak — przytakiwał Walczak.

— Co do tego niedowierzania w pracę zadarmo, to pan Michnik nie myli się — przyznała Hela — stwierdziłam to na sobie... Mam teraz, dopóki nauka nie zaczęła się, dosyć czasu. Więc mówię kilka dni temu do mojej gospodyni: Jeżeli wy, lub jaka sąsiadka, macie do napisania list, kartkę do niewoli, czy jakieś podanie, to niechaj przyjdzie do mnie, a chętnie napiszę...

— Pisarz gminny ukamieniuje panią — zaśmiał się Michnik.

— Właśnie chciałam zapobiedz wyzyskowi, o którym słyszałam... Ale proszę posłuchać, co było dalej: A ileby też panienska brała od takiego pisania? — pytała moja Dorulowa. — Nic — mówię. — E, takie to gadanie... Tera nic darmo — odpowiedziała mi z przekonaniem — Nawet za śmierć zapłacić musisz księdzu, żeby się pomodlił, organście, żeby zaśpiewał i kościelnemu, żeby łopatą oklepał... A panienska by ta miała czas po próżnicy tracić? Chyba, żeby panienska była za to z rządu płacona... No i co z nią gadać? — kończyła Hela na wpeł ze śmiechem, na wpół z lekką irytacją.

— A widzi pani... klasyczny przykład — rzekł Michnik. — Trudno, chłop jest podejrzliwy i nieufny.

— Moi państwo — wpadła mu nagle w rozmowę Józia, która podczas tej rozmowy najspokojniej w świecie zjadła ciastka — od pół godziny nie robicie nic, tylko odmieniacie chłop, chłop, chłopu, dla chłopów... No i pociąg to?... Ja tam się nigdy tyle nad chłopami nie zastanawiam, a jak mówię do nich, to oni mnie rozumieją, ja ich rozumiem i... lubimy się nawzajem i dobrze...

Michnik spojrział na nią z zachwytem.

— Pani posiada rzadki dar ujmowania sobie serc...

— Za cukierek dziękuję, ale już po deserze — odrzuciła dziewczyna. — Zresztą to wcale nieprawda, co pan powiedział o tem zdobywaniu serc... Od tylu

miesięcy chcę na przykład, żeby się pan we mnie zakochał, a pan ani rusz!... To nawet nieładnie być tak upartym...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, tylko Michnik poczerwieniał i zrobił wielce niedowcipną minę.

— No, a cóż pan sądzi o tem wszvstkiem? — zwróciła się Hela do milczącego dotychczas Ludwika.

— O czem? O panie Józi i panu Władysławie?

— Alz nie... O tej wypożyczalni książek dla chłopów...

— A o tem, to przyznam się, że wcale nie sądzę, bo się na tem nic a nic nie znam... Ja wogóle społecznikiem nie jestem...

— A czem pan jest? — zapytała wesoło Hela.

— Jak pani myśli?

— Nie trudno odgadnąć — wtrąciła z uśmiechem Anielka — trochę maminy synkiem, trochę próżniakiem, a zresztą bardzo dobrym chłopcem, którym można pokierować tak i owak...

— A więc kierujcie mną, łaskawe panie — wyrzekł Ludwik z komiżną powagą.

— O, nie — zawołała panna Lidzińska — zbyt wielki wygodniś z pana... Musi pan sam pokierować sobą...

— Więc mi pani odmawia swojej pomocy?

— Odmawiam stanowczo.

Spojrzenia Heli i Ludwika zwały się ze sobą na długą chwilę, jakby oczy chciały dopowiedzieć to, czego nie mogły wymówić usta.

Potem Hela nagle odwróciła głowę i zaczęła mówić coś do Walczaka bardzo szybko, trochę bezładnie...

W mózgu dziewczyny wiła się uporczywie jedna myśl. Jakże ten ładny, miły chłopiec ze szczerem, niebieskimi oczyma i serdecznym uśmiechem, dalekim jest od ideału mężczyzny, który sobie wymarzyła...

A jednak lubi go, lubi stanowczo i to z każdym dniem więcej...

Ale pociąg właściwie o tem myśleć tyle?... Czyż to mało jest ludzi, których się lubi... Ot, Michnik, Walczak na przykład...

Hela chciała by oszukać samą siebie, ale czuje, że to nie to samo...

— Wiecie państwo, cobym zaproponował — odezwał się Ludwik — dzień taki śliczny, a wy go marnujecie na dyskusje... Chodźmy lepiej wszyscy na spacer...

Mówił „wszyscy“, ale patrzył tylko na Helę. Zauważyła to Anielka i uśmiechnęła się nieznacznie.

— Ja nie mogę iść — oświadczyła Walczakowa — mam ważne zajęcia gospodarskie...

— Ja także zostanę — rzekła Józia, która, wedle określenia Walczaka, miała swój „gospodarski dzień“ — będę ci pomagała, Anielko...

— A może i ja się paniom przydam — ofiarował pospiesznie swoje usługi Michnik.

— Wątpię bardzo — zrobiła pogardliwą minę Józia.

— Ależ, owszem — ujęła się za Michnikiem Anielka — przyjmujemy chętnie pańską pomoc...

— To i mnie chyba zwolnisz, Ludwiku, od tego spaceru — uśmiechnął się Walczak — bo i ja mam coś do roboty...

— Uwolnię cię — odparł ze wspaiałomyślnym gestem Ludwik — a zwracając się do Heli, rzekł: może pani zlituje się przynajmniej nademną i zechce mi towarzyszyć?

— Mogę pójść — odpowiedziała panna i zarumieniała się zupełnie nie w porę.

Józia pochyliła się do ucha Anielki i szepnęła cichutko:

— A to ci studentka raki piecze!... Zakochała się w panu Ludwiku na amen...

Anielka obejrzała się przestraszona, czy kto nie dosłyszał, ale wszyscy wstawali właśnie od stołu i nikt nie zwrócił uwagi na szept Józii.

— — — — —
Liliowe cienie zmierzchu kładły się już po polach, kiedy Ludwik z Helą wracali ze spaceru. Pastuchy spędzali bydło z pastwisk, a ode wsi niosły się dźwięki dzwonu, nawołującego do modlitwy: „Na Anioł Pański“...

Hela niosła w ręku wielką wiązkę rumianków, a towarzysząc jej obracał w palcach kilka takich samych białych, gwiżdżących kwiatów...

Szli oboje cisi, zadumani, rozmarzeni... Przedtem rozmawiali żywo, kłócili się trochę, opowiadali sobie wiele, ale teraz umilkli...

Dobrze im było ze sobą w tym zmierzchu różowo liliowym i czuli, że wszelkie słowa są zbyt ciche, bo cisza mówi za nich.

(Ciąg dalszy nastąpi).